POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 25 PAŹDZIERNIKA 1930 ROKU NR. 43

ANDRZEJ STRUG

36)

ŻÓŁTY KRZYŻ

— Pani Dorota Meissner, Schlossstrasse Nr. 27, drugie piętro na prawo, godzina siódma minut piętnaście. Zapytać o pana...

— Willich! Willich — to ja. Powtórzyć!

— Willich...

— Ma pani pociąg za godzinę. I tak wybierała się pani do rodziców, prawda? Odwiedzić brata, który się truł. Chce pani wiedzieć, dlaczego to uczynił? Zginęły mu tajne plany nowo zmontowanych generatorów do udoskonalonego wytwarzania gazu marki Żółty Krzyż. Zginęły, bo pani mu je ukradła. Czy pani ma je u siebie z powrotem, żeby je podrzucić?

— Mam! Mam!... Nie. — Nie mam... Litości panie... Ja nie mam...

— Fuszerka angielska. Więc oto są. Wpadły nam w ręce.

Podał jej wielką kopertę z numerem 12-C, ostemplowaną czerwono w paru miejscach — Geheim... Geheim... Geheim..

Odwrócił się i poszedł.

* * *

Z chaosu obrazów, powydzieranych z całości, przeskakujących przez siebie nawzajem, z urywków, epizodów wynurzało się stopniowo dzień za dniem wielkie przełomowe, przebojowe, rewelacyjne arcydzieło „Bogowie Germanji", epopeja wojny, niedościgły superfilm, bijący wszystkie europejskie i amerykańskie rekordy. Reklama szalała. — Prawdziwe zdjęcia z frontu! Nasi żołnierze w okopach i w ogniu! Bohaterscy operatorzy „Mundus-Filmu" na czołowych pozycjach!

— Dziesięć tysięcy cywilnych statystów! Dwie dywizje piechoty, cztery baterje artylerji ciężkiej, trzy eskadry lotnicze uczestniczą w filmie!

— Eva Evard ukończyła wszystkie wystąpienia Brunhildy, które wypadły wspaniale. Pozostają obrazy w terenie, co rozpocznie się w połowie maja.

Znakomity artysta, Hjalmar Butzke, kapitan Hofacker-Wotan, prowadząc swoją kompanję, ostrzeliwaną — autentyczne — z pozycji nieprzyjacielskich— autentyczne — został lekko ranny odłamkiem granatu. Odłamek jest wystawiony do obejrzenia w witrynie lokalu Mundus-Filmu.

— Opera Cesarska w Berlinie oraz jedyny na kuli ziemskiej magazyn rekwizytów w Bayreuth dla wielkiego dzieła narodowego ofiarowały bezinteresownie bezcenne kostjumy do obrazów mitologicznych...

— Kreacja głównej bohaterki Ewy Evard-Margarety Hart-Brunhildy wedle jednomyślnej opinji najpoważniejszych rzeczoznawców nacechowana jest przedziwnie głębokiem odczuciem duszy germańskiej...

— Ze wszystkich krajów neutralnych już napłynęły zamówienia na „Bogów Germanji", ten nieśmiertelny wytwór ducha niemieckiego, dokonany w najcięższych czasach wojny. Świadczy to o stanowczym zwrocie opinji neutralnej, która...

— Wiadomość o wzięciu do niewoli przez anglików znakomitego operatora Gottfrieda Huncke na szczęście okazała się nieścisłą.

— Nieporównana Eva Evard w łaskawie udzielonym nam wywiadzie uznaje, że „Bogowie Germanji" są najwyższym wyrazem sztuki filmowej. Zarówno szczytna, głęboka koncepcja, jak ogrom rozporządzalnych środków technicznych...

Eva Evard, jak i dyrektor van Trothen pracowali bez szczególnego zapału. Film był ordynarną bombą patrjotyczną, z całym aparatem tandety sentymentalnej i przesadnych, karykaturalnych efektów bojowych, które znieważały powagę wojny. Oczywiście nie było żadnych zdjęć na froncie. Reżyser ganiał po polu dwie nieszczęsne kompanje landszturmu, udzielone przez ministerstwo za protekcją generała Sittenfelda i kazał im się mordować w sztucznych okopach. Przeplatanie współczesności przez kostjumową Nibelungjadę i podwójne role głównych aktorów potęgowały zamęt konstrukcji do szczytów absurdu. Mimo to van Trothen twierdził, że film będzie miał wyjątkowe powodzenie, oczywiście dzięki udziałowi genjalnej Evy.

Eva odrabiała swoje, byle zbyć, gdyż pochłaniała ją nowa, niezaznana gra we własnym ultra-filmie, który stworzyła sobie sama. Tutaj dyrektor van Trothen był tylko ułamkowo reżyserem. Kierownictwo niebawem wymknęło mu się z rąk, musiał poprzestać na ułatwieniach technicznych, na dobrych radach, związanych ze znajomością terenu i na nieustających nigdy ostrzeżeniach. Na grę Evy patrzał z przerażeniem i z zachwytem. Jej ambicje były zawrotne, postanowiła dokonać cudu, ni mniej ni więcej tylko — przeważyć szalę wojny na rzecz mocarstw sprzymierzonych. Oznajmiła mu to odrazu. Spierali się przez długie godziny. Van Trothen z początku żartował, potem się irytował, potem zląkł się, doszedł do przekonania, że Eva jest manjaczką, opętaną uporczywą ideją, spokojną, więc w danych okolicznościach właśnie najniebezpieczniejszą obłąkaną. Wkońcu powołał się na swoje pełnomocnictwa i zabronił jej najsurowiej zaczynać coś na własną rękę. Tak czy owak był jej władzą. Ale Eva drwiła z jego pełnomocnictw i z władzy.

— Panie van Trothen, pan sądzi, że panu przysłano z Paryża jeszcze jedną agentkę? Otóż mnie nikt

nie wysyłał, oznajmiłam tylko, gdzie należy, że mam zamiar sprobować moich sił na tym zajmującym terenie. Pan generał Dubail był tak łaskaw, że na paru konferencjach udzielił mi nader pożytecznych instrukcji oraz polecił mi pańską szanowną osobę jako doradcę technicznego i człowieka zaufania — tylko tyle.

— Ależ pani zginie! I to marnie! I bardzo prędko... Taka amatorka — dyletantka! Czyż pani nie wie, że nastawiona na nas straszliwa machina kontr-wywiadu? Pani się zaplącze, pani im wpadnie w oko odrazu. Wówczas zastawią jakąś nader kunsztowną pułapkę, a pani złapie się w nią z całą swoją inteligencją i ze swoim nieporównanym wdziękiem. No i już.

— Proszę zważyć, że ja nie mam żadnych metod ani sposobów im znanych. Że z natury jestem indywidualistką i to dość nieodgadnioną. Że sam rozgłos mego imienia będzie mnie dobrze osłaniać...

— Ręczę pani, że od pierwszego dnia pani pobytu w Berlinie a może od samej granicy jest pani śledzona. Mogę to sprawdzić z bardzo małym zachodem.

— Więc cóż? Przypuśćmy. Ja nie mam nic do ukrywania. Niech mnie śledzą, ile im się spodoba.

— Jakto?

— Jedyną moją tajemnicą jest pan, panie van Trothen, i ta pańska centrala. To jedyne niebezpieczeństwo. Namyślałam się długo, czy dopuścić pana do spółki, ale tak się cudownie złożyło z tym filmem, że choćby pan się wsypał, to mnie nic nie grozi.

— Pani sądzi, że pani sława obroni panią przed karą? Stąd ta przerażająca lekkomyślność! Proszę być pewną, że niemcy nie zawahają się ani przez chwilę i powieszą panią z całą pompą. Zresztą będzie to dla pani wspaniałą reklamą. Właściciele starych filmów z Evą Evard zrobią doskonały interes. Cały świat będzie chciał jeszcze raz zobaczyć panią jako ofiarę i bohaterkę.

— Pan mnie straszy, bo pan mnie nie zna. Ja się nie boję niczego. Gdyby nie to niebezpieczeństwo, aniby mi się śniło wdawać w te sprawy. Ja też chcę zażyć wojny. Na front mnie nie puszczą, więc przynajmniej na tej drodze miło mi będzie poigrać ze śmiercią. A zresztą wojna tak się wlecze.... Postaram się przyśpieszyć jej koniec.

— Na miłość boską, pani Evo, czy pani wie, co pani mówi?! Czy pani chce, żebym oszalał?!

— Generał Dubail zapewniał mnie, że van Trothen jest mocnym człowiekiem...

— Do stu djabłów — za pozwoleniem pani — jestem nim i to bardziej, niż to widzi generał Dubail ze swojego Paryża. Wytrzymałem tu trzy lata, rozumie pani, co to znaczy? Nie, pani tego nie może zrozumieć...

— Owszem, owszem...

— To łaskawa pani — owszem — dowodzi najlepiej, że pani nie orjentuje się w niczem, co dotyczy tutejszego terenu, jego trudności i zasadzek. Tu niema miejsca dla improwizacji pięknej kobiety. A jeżeli pani nic jeszcze nie zdziaławszy zaczyna od fantastycznych ambicji, to ja muszę się od pani trzymać daleko, właśnie jako człowiek mocny.

— Panie van Trothen, człowiek mocny przedewszystkiem umie znieść nową śmiałą ideję. Człowiek mocny mierzy zamiar na siły, nie odwrotnie.

— Nie w naszym fachu, łaskawa pani.

— Proszę mnie nie zaliczać do fachu szpiegowskiego.

— A czemże pani jest?

— Jestem wolnym człowiekiem, który przemyślał i zamierzył pewną rzecz i nie uląkł się jej ogromu. Skrócenie wojny i Eva Evard? To się wydaje śmieszne. A czyż nie są śmieszne główne kwatery obu walczących stron, które od końca czternastego roku spoczywają w rozpaczliwym bezwładzie, uwikłane przez wojnę? Czy miały jakikolwiek sens krwawe hekatomby pod Ypres, pod Verdun, nad Somme'ą? Co za znaczenie dla rozstrzygnięcia wojny miało dziesięć ofensyw włoskich nad Isonzo? Żadnego — jeżeli nie liczyć miljona trupów i jeńców. A absurdalna bitwa pod Skagerrak? A Dardanelle, jedyna idea w wielkim stylu, kolosalny zamiar obejścia prawego skrzydła niezmiernego frontu? Samo odkrycie, że ten niebywały front bez skrzydeł daje jednak możność okrążenia — nosi znamiona wielkości. Cóż się stało z tym jedynym w tej wojnie świetnym manewrem, z ideją lorda Churchilla? Zaprzepaścili wszystko tępi biurokraci głównych sztabów i intryganci polityczni, te małe głowy zahypnotyzowane nikczemną, godną eunuchów doktryną wojny na zużycie przeciwnika. Poprowadzili operację niedołężnie, bez zapału, nie wytrwali i cofnęli się w połowie zadania. A Dardanelle kosztowały pół miljona strat w ludziach, a ile pancerników, ile miljardów pieniędzy, ile straconego czasu, tej bezcennej wartości?

— Innemi słowy, należałoby panią mianować naczelnym wodzem wszystkich wojsk koalicyjnych na wszystkich frontach. Takiego stanowiska, niestety, niema, ale dla pani wartoby je stworzyć. Owszem, nie miałbym nic przeciwko temu, tylko to się nie da zrobić z Berlina. Co pani właściwie zamierza?

— Co zamierzam? Pan pozwoli, że to zachowam dla siebie, chciałabym tylko, dla zgodnej współpracy z panem, żeby pan zrozumiał, jaką rolę w chaosie wojny, w potopie jej niezliczonych wydarzeń może odegrać jednostka, świadoma swego celu. W grę wchodzą ogromne siły, miljonowe masy, jest to bój tytanów. Jeżeli sięgamy do nomenklatury mitologicznej, powiedzieć można, że jest to bój dwuch cyklopów, którym obu wypalono oczy. Walczą na ślepo, ciskają skałami we wszystkie strony, nie trafiają ani razu i wreszcie oddalają się od siebie coraz bardziej. Absurd. Kto zdoła przewidzieć koniec podobnej farsy? A kto przewidzi koniec naszej wojny? Pan wie, co mi na to pytanie odpowiedział w Paryżu szef gabinetu i minister wojny, mądry Painlevé? Licząc na pomoc Ameryki i biorąc pod uwagę wszystkie sprzyjające okoliczności, przypuszczał, że rozstrzygnięcie nastąpi mniej więcej za dwa lata — było to w listopadzie zeszłego roku, czyli na późną jesień 1919 roku... Walczący cyklopi mają czas, no a mnie, jak to panu powiedziałam, ta niemrawa wojna już się znudziła. A teraz, co ja biedna mogę uczynić?

— Otóż to. Lepiej było od tego właśnie zacząć.

— Każdy wykłada swoją rzecz po swojemu. Co mogę zrobić? Trzeba wśród niezliczonych momentów wojny odnaleść pewien podstawowy pierwiastek, który sprawia, że dzieje się to, na co patrzymy. Weźmy jeden przykład. Żaden czołowy atak nie przełamie umocnionego frontu. Znamy niejedną tytaniczną, znowu „tytaniczną" ofensywę, wszyscy pamiętamy Flandrję, Verdun, Sommę.

(D. c. n.).

MAYERLING

25)

Stanowczym ruchem podeszła do niego cesarzowa i — z wielką słodyczą, lecz bez omówień, podzieliła się z nim okropną wiadomością.

Zdawało się przez chwilę, że cesarz nie rozumie. Wzrok jego szedł od żony do pani Schratt i pytał obie pustem spojrzeniem. Następnie, powalony tym ciosem, opadł ciężko na kanapę...

Długo siedział między cesarzową i panią Schratt. Obie trzymały go za ręce. Nie starał się walczyć ze swoim bólem, który przytłaczał go. Był ciężko dotknięty i jako ojciec, i jako wierzący, i jako cesarz. Słyszał jeszcze słowa Rudolfa, wypowiedziane w ubiegłą sobotę:

„Z trudnego położenia, w jakiem mnie stawiasz, jest jeszcze inne wyjście..."

Nie wierzył w tę groźbę. A jednak widział bladość na twarzy syna, oczy płonące gniewem. Uczynił to, co — jak mawiał — uważał, za najlepsze. Lecz wypadki przerosły go. Samobójstwo! Jego syn, syn jedyny, nadzieja jedyna! Zabił się! Był to fakt monstrualny, niezrozumiały... Trudno było myśleć o tem bez zawrotu głowy... Kościół! Co uczyni kościół. Rudolf uda się przed sąd Ostateczny bez modłów, bez błogosławieństwa, bez rozgrzeszenia. Za chwilę szaleństwa zapłaci wieczystą męką!? Czy monarchja, powolne, wiekowe dzieło jego rodu, zdoła przeżyć ów straszny cios. Gdzie tylko zwracał się myślą, same katastrofy. Mijały minuty, a on nie ruszał się z miejsca. A trzeba było powziąć natychmiast jakieś postanowienie. Hrabia Hoyos oczekiwał go w gabinecie. Trup Rudolfa, razem z trupem tej dziewczyny... Starł z powiędłych policzków ślady łez, pocałował żonę i panią Schratt, poczem udał się do swoich apartamentów.

Niebawem z Hofburga padły rozkazy.

Człowiek zaufania jego cesarskiej mości, hrabia Taaffe, prezydent ministrów przybywa z Reichsratu, o wpół do drugiej. Prefekt policji, członkowie gabinetu są już zebrani. Panuje największa konsternacja i przerażenie — lecz przedsięwzięto dalsze kroki.

Hrabia Szecsen von Temerin, wysoki funkcjonarjusz policji, jeden z lekarzy cesarza, profesor Wiederhofer i inni dworscy dygnitarze, jadą bez zwłoki do Mayerlingu, skąd przywożą ciało następcy tronu. Co do Marji Vetsery, najokrutniejszy wyrok...

Są z powrotem o pierwszej po północy. Zwłoki Rudolfa spoczywają w jego apartamentach. Nie uczyniono zadość życzeniom, które wyraził w liście do matki, by pochowano go na wiejskim cmentarzu w Allaud, razem z Marją. Dla niego — Hofburg. Marja nie istnieje, Marja nigdy nie istniała! Rudolf spoczywa na polowem łóżku, pośród kwiecia. Czerwona, jedwabna materja zakrywa go aż po twarz; głowa, wgłębiona w białą bieliznę, która zakrywa roztrzaskaną skroń.

Tłumy gromadzą się dokoła Hofburga. Tłumy falują, nacierają, rosną. Policja nie jest w stanie utrzymać porządku. Trzeba się uciec do pomocy wojska. Są ranni, jeden trup. Fatalny los chce, by przy każdem wielkiem wydarzeniu: śmierci, czy narodzinach wysoko postawionej osoby, znalazła się jakaś ludzka ofiara. Raz jeszcze sprawdza się ta dziwna tajemnicza, niezrozumiała, ale też nieodwołalna teorja; zabito człowieka, ponieważ umarł następca tronu.

Komunikąt oficjalny brzmi narazie, że umarł na anewryzm serca.

Jednak, nocą zrobiono sekcję. Mimo przedsięwziętych środków ostrożności, nie można ukryć samobójstwa. Raport lekarzy ukazuje się w piątek, pierwszego lutego: Przyczyną śmierci następcy tronu samobójstwo, wywołane nagłem pomieszaniem zmysłów.

Opierając się na tym raporcie, cesarz wysyła do papieża depeszę, składającą się z dwóch tysięcy słów, w której prosi o pogrzeb religijny dla swojego syna. Sprawa ta leży mu na sercu, sprawa rozdzierająca i pierwszej wagi, Kościół musi się modlić za duszę Rudolfa. Watykan waha się. Jak pokryć widoczne samobójstwo? Nowa depesza od cesarza. Jeżeli Kościół odmówi ostatniej posługi, cesarz zrzeknie się tronu.

Papież Leon XIII, mimo oporu sekretarza stanu kardynała Rampolli, ulega prośbom Franciszka Józefa i zezwala na pogrzeb religijny.

Pogrzeb miał miejsce piątego lutego o piątej popołudniu. Z wielką pompą odprowadzono zwłoki Rudolfa do kościoła Kapucynów, gdzie spoczywają wszyscy Habsburgowie, oraz książę Reichstadtu, aneksowany przez rodzinę austrjacką.

Cesarzowa, arcyksiężna Stefanja i arcyksiężniczki nie są obecne na pogrzebie. Asystują podczas Mszy w kaplicy zamkowej. Cesarz jest zupełnie opanowany. Po przybyciu sprawdza jednem spojrzeniem, czy wszystko jest w porządku i nic nie uchybia dworskiemu regulaminowi. Podczas Mszy jest nieporuszony. Załamuje się dopiero w chwilę potem, gdy w krypcie marszałek dworu, książę Hohenlohe, pokazuje zwłoki jego syna w otwartej trumnie i pyta kapelana dworu:

— Poznajesz Ojcze zwłoki nieboszczyka Rudolfa, arcyksięcia Austrji, byłego następcy tronu i dziedzica korony?

Ksiądz kapelan odpowiada według tradycji:

— Poznaję je i od dziś będziemy czuwać nad niemi.

* * *

Opuśćmy kryptę, w której nagromadziło się tyle ludzkich wielkości dokoła grobu jednego arcyksięcia, którego miłość zaprowadziła do śmierci; pozwólmy na zlodowaciałych murach chwiać się chorągwiom o emblematach cesarskich; dajmy duszom błąkającym się po tych podziemiach powitać nieszczęsną ofiarę, która zjawia się pośród nich pokryta jeszcze młodą krwią i wróćmy do Marji Vetsery, porzuconej na miejscu, na którem została zabita.

Nic nie da się porównać z okrucieństwem, z jakiem potraktowano ciało tej młodej czarującej dziewczyny.

Gdy Marja opuściła dom dwudziestego ósmego stycznia i udała się do Mayerlingu, hrabina Larisch Wallersee przybyła na Salezianergasse. Udawała przerażenie. Marja — zapewniała hrabina — uciekła, korzystając z nieuwagi hrabiny, która zostawiła ją na chwilę samą w jednym ze sklepów. Napisała liścik, że idzie się utopić w Dunaju.

Można sobie wyobrazić zdumienie, przerażenie i rozpacz pani Vetsery, kiedy usłyszała tę nieoczekiwaną historję. Hrabina Larisch uspokoiła swoją przyjaciółkę i jęła ją torturować w inny sposób.

— Marja nie odebrała sobie życia. Uciekła z następcą tronu, za którym szaleje z miłości!

— Ależ nie zna go wcale! — zaprzeczyła baronowa.

Na to pani Larisch - Wallersee opowiedziała o romansie Marji z arcyksięciem Rudolfem, nie wspominając oczywiście o niecnej roli, jaką odegrała ona, dusza tej intrygi.

Pani Vetsera nie dowierzała swoim uszom. Jej córka, z którą nie rozstawała się nigdy, dziecko jeszcze, kochanką następcy tronu! Jaka przepaść dzieliła ich!... Należało niezwłocznie udać się w pogoń za Marją. Chciała biec do prezesa ministrów, hrabiego Taaffe, którego znała osobiście. Hrabina Larisch namówiła ją, by tego nie czyniła. Hrabia Taaffe był zbyt znany w kołach towarzyskich; skandal nabrałby rozgłosu. Postanowiła więc udać się do naczelnika policji. Nie przestawała powtarzać: „Straciłam Marję, muszę ją odzyskać"!

I w rzeczy samej zwróciła się do prefekta policji. Powiedział jej, że przedsięweźmie odpowiednie kroki, o ile złożą mu skargę. Tylko matka mogła złożyć skargę ... zresztą jeżeli służba wywiadowcza natrafi na ślad arcyksięcia, to wszelkie dalsze kroki ustaną, gdyż policja nie ma prawa śledzić następcy tronu.

Pani Vetsera wróciła do domu i posłała do naczelnika policji brata swojego Aleksandra Baltazzi razem z hrabiną Larisch. I te kroki pozostały bez skutku. Lękając się skandalu i łudząc nadzieją, że Marja wróci do domu lada chwila, baronowa Vetsera nie mogła zdecydować się na złożenie skargi.

Gdzie był obecnie następca tronu? Kazała się dowiedzieć u hrabiego Hoyosa, przyjaciela i towarzysza polowań. Służba hrabiego nie wiedziała, gdzie poluje ich pan.

Hrabina Larisch - Wallersee ofiarowała się, że pójdzie zasięgnąć języka w Hofburgu. Wróciła wieczorem. Rudolf polował w Mayerlingu, razem z przyjaciółmi. Wróci następnego dnia wieczorem, by wziąć udział w rodzinnym obiedzie.

Minęła noc. Marja nie wróciła. Nazajutrz o świcie hrabina Larisch - Wallersee uznała, że uczyni najsłuszniej i najostrożniej, gdy opuści Wiedeń i uda się do swoich dóbr.

Biedna pani Vetsera pobiegła znowu do naczelnika policji. Wysłuchał z wielkiem powątpiewaniem wersji hrabiny Larisch Wallersee o zniknięciu młodej Marji Vetsery ze sklepu... Znał swój światek i zapytał nagle baronową:

— Jest pani pewna hrabiny Larisch Wallersee?

Baronowa złożyła na jego ręce skargę. Prefekt policji powtórzył jej raz jeszcze, że jeśli ślady zniknięcia czy porwania doprowadzą do osoby następcy tronu, będzie musiał zaprzestać śledztwa.

Niepokój graniczący z obłędem wzrastał z każdą godziną. Baronowa Vetsera chciała biec do cesarza i rzucić mu się do stóp. Nie mogąc dotrzeć do jego cesarskiej mości, kazała zaprowadzić się do hrabiego Taaffe.

Hrabiego Taaffe wtajemniczył już prefekt policji. Radził baronowej, by uzbroiła się w cierpliwość. Nie był pewien, czy panna Vetsera nie znajdowała się w Mayerlingu. Miał tego samego wieczoru być na obiedzie w Hofburgu. Spotka tam następcę tronu. Będzie mógł prawdopodobnie zasięgnąć pewnych informacji.

Pani Vetsera nic nie rozumiała z jego słów. Błagała prezesa gabinetu, by sam rozmówił się z arcyksięciem Rudolfem.

Odpowiedział, że ich stosunki nie były na tyle serdeczne, by mógł sobie pozwolić na poufałość i wtrącanie się do spraw osobistych następcy tronu. Następnie, nadmienił, że jeżeli przypuszczenia baronowej Vetsery miały pewne podstawy, to jedynie cesarzowa mogła poruszyć ten temat z synem, gdyż ona jedynie miała wpływ na Rudolfa.

— Jeżeli będzie wieczorem w Hofburgu, na obiedzie, mój naczelny wywiadowca śledzić go będzie po wyjściu, chociaż, przyznać muszę, jest mi niezmiernie przykro mieszać się w sprawy osobiste następcy tronu.

Minęła jeszcze noc, podczas której pani Vetsera nie znalazła chwili spokoju. Rano, list hrabiny Larisch przyniósł jej konkretne dowody romansu Marji z Rudolfem. Pewnem więc było — mimo powątpiewania wysokich urzędników stojących tak blisko dworu — że uciekła z arcyksięciem.

Hrabia Taaffe milczał. Czy nie spotkał poprzedniego wieczoru następcy tronu? Dlaczego nie dawał znaku życia?

Nie mogąc opanować dłużej lęku i niecierpliwości, udała się przed południem do zamku. Znała panią de Ferenczi i u niej kazała się zameldować.

Po długich chwilach czekania zjawiła się wreszcie pani Ferenczi.

Hrabia Taaffe poinformował ją — rzekła — lecz, nie dodała, iż dowiedziała już się o tragicznej śmierci kochanków. Baronowa jęła błagać panią Ferenczi, by postarała się o uzyskanie dla niej audjencji u cesarzowej, która wiedziała z całą pewnością, gdzie jest Marja i arcyksiążę i która tylko mogła zapobiec wybuchowi skandalu.

Pani Ferenczi dała wymijającą odpowiedź, twierdząc, że jest już zapóźno, skandal nieunikniony, lecz mimo to jej cesarska mość zobaczy się z baronową.

Po tem zdaniu pełnem gróźb oddaliła się, pozostawiając w osłupieniu matkę Marji.

Minęło kilka minut. W drzwiach ukazała się cesarzowa. Była blada i zmrożona.

Podeszła do pani Vetsery. Ujęła ją za rękę i rzekła:

— Niema już naszych dzieci.

Te słowa, tak ludzkie, wypowiedziane przez cesarzową, wzruszyły omdlewające serce pani Vetsery. Łączyły tem samem cierpieniem dwie matki jednakowo zranione.

Tymczasem, cesarzowa, pragnąc bodaj na chwilę zapomnieć o okropnem nieszczęściu, które ją dotknęło, mówiła o cesarzu, o ciosie, jaki los wymierzył głowie państwa, i nieobliczalnych konsekwencjach, jakie mogły wyniknąć z tego.

Pani Vetsera opuściła Hofburg tak wzruszona, że dopiero w domu spostrzegła, iż nie otrzymała od cesarzowej żadnych wyjaśnień, w jakich okolicznościach znaleziono trupy Rudolfa i Marji.

Męczeństwo pani Vetsery miało dopiero rozpocząć się.

Popołudniu, gdy z minuty na minutę oczekiwała wieści z Hofburga, kiedy wreszcie oddadzą jej ciało dziecka, zjawił się na Salezianergasse wysoki urzędnik dworski.

Głosem matowym, tonem zawoalowanym lecz pełnym przewrotności, dał jej do zrozumienia, że najbezpieczniej dla pani Vetsery byłoby opuścić Wiedeń natychmiast; okoliczności towarzyszące śmierci następcy tronu dotrą niebawem do ogółu i można się było spodziewać wybuchu gniewu narodu, który ubóstwiał Rudolfa.

(D. c. n.).